

Opera Śląska i lekka muza na warszawskich scenach.

Zacznijmy od wodewilów i od ~~nowego~~ "Programu" Teatru Letniego. Eugenjusz Zytomirski kierownik literacki nowej placówki pisze w ten sposób w oficjalnym "credo": "Operetka Meilhaca, Millanda i Heyvre'go "Mlle Niteuche", którą Teatr Letni inauguruje swoją działalność, nie pokrywa się zasadniczo z celami, jakie Spółdzielnia sobie zakreśliła. Linia reperturowa Ludowego Teatru Muzycznego oś będzie przede wszystkim w kierunku wielkiego, rodzimego, ludowego wodewilu. Na tej drodze spędziewa się Spółdzielnia zbliżyć szerokie masy publiczności do sztuki-sztuki niechby nawet tzw. "lekkiej", a przecież niemniej ważkiej, potrzebnej i kształcącej od innych, pozbawionych charakteru rozrywkowego, jej rodzajów."

Podoba mi się to wyznanie wiary teatralnej u progu działalności, podoba także i to, że autor ma śmiałą odwagę przyznać po kilku słowach oficjalnego wstępu i oficjalnych zapewnieniach, iż... "Niteuche" przypadkowo znalazła się na tej scenie i nie jest "legitymacją artystyczną" i ideologiczną nowej Spółdzielni.

Co innego natomiast psuje nam humor. Mam na myśli owe reperturowe horyzonty "wielkiego, rodzimego, ludowego wodewilu" jak się wyraził wspomniany literat.

Przed rokiem, z tego samego miejsca, pozwoliłem sobie Drodzy Radiosłuchacze powtórzyć Wam rozmowę, jaką miałem z Julianem Tuwimem, organizującym wówczas pod tymi samymi ^{niemal} hasłami Teatr Nowy. Wtedy też dał świetny poeta wyraz swej trosce o sprawę koniecznego i pożądanego tak przez naszą publiczność repertuaru "lekkiego", repertuaru przynoszącego rozrywkę ale przynoszącego wraz z nią wartości, które budują kulturę młodej i nowej Polski.

Pokazało się w praktyce, że sprawa nie jest łatwa. Teatr Nowy wyraźnie z tym zagadnieniem się borykał i boryka i niejednokrotnie musiał ratować sytuację sztukami jakże odległymi od założeń, sztukami - którym w walny sukces musiał przyjść talent adaptatorski Tuwima... "Jadzia Wdowa" czy inne "Perwanie Sabinek" jest tego widomym dowodem. Krótce powiedziawszy sprawa naszego "lekkiego" repertuaru przedstawia się źle, a nawet bardzo źle. Wydaje mi się nawet iż jest tym gorzej, że nie ma w tej materii żadnego planu działania, że tzw. "szanujący się" literaci od czasów Krumłowskiego i Dobrzańskiego odżegnują się od pracy na tym terenie i na pebejewisku pozostają uratowani przez Szyllera "Krakowiacy i Górale", nieśmiertelna "Królowa Przedmieścia" i na wsi.. "Kapral Szczapa"..

Takie to smutne myśli ogarniały mnie przy czytaniu "Programu Teatru Nowego", który podejmuje się odważnie tak ciężkiego zadania i takie

refleksje nie opuszczają, gdy prezentowane są bardzo zresztą szczęśliwie-staruszkę "Niteuche", redzoną siostrę pana Masurkiewicza, bohatera "Żołnierza Królowej Madagaskaru".

Podobnie bowiem jak imć pan mecenas z Radomia wzór wszelakich cnót trafia za kulisy i w grzeszne ramiona primadenny operetkowej Kamilli-tak mała cnotliwa i świetnie grana przez Jarkowską "Niteuche"zawędrowała z klaszternej pensji na "tyły"teatryku a potem ze sceny do dragońskich czy ułańskich kosszar, aby zdobyć serce pana perucznika i narebić przy tym nie-przystojnego panience bałaganu. Takie te dziwne prawa panują w operetkach starego auteramentu, które-pomimo oficjalnej nieaktualności-mają jednak, jak rzadko który stary utwór dramatyczny, mają najbardziej sugestywną moc i umiejętność wskrzeszania atmosfery i zapachów przeszłości dziewiętnastowiecznej. Może jest w tym przesada-ale doprawdy zadumać się można nad wedywilowymi dokumentami przeszłego wieku i-tenąc w rozmarzeniu nad mienionymi melodiami-myśleć co byłe większą katergą-czy sznurówka czy konwenanseprzełożonej "Pensji Jaskółek"!

Robota sceniczna komedyjki nie jest równa. Tadeusz Cygler respeczą doskonale i pierwszy akt zapowiada doskonale tempo, swartość i są trafne rozwiązanie sensu sytuacji scenicznych-tak bardzo ważnych w budowie komedii są wieleosobowej. Tymczasem w miarę narastania nowych scen i przeniesienia akcji na scenę tetru, w miarę pojawiania się są baletu, nowych gwiazd aktorskich, wstawek, kupletów itd. jednolitość i swartość wyraźnie wymyka się spod kontroli reżysera a całość-co jest wielkim grzechem-zaczyna tracić tempo. Podejrzewam, iż młodym reżyserowi niełatwo było połączyć wszystkie nici i elementy składające się na tak "machine" a złączenie w zwartą całość Jarkowskiej, ^{Mrozickiego} Parnella, Popławskiego i Karwowskiej przy stosunkowo blachym tekście nie było rzeczą łatwą ani małą. Mocne indywidualności aktorskie i śpiewacze mają swoje prawa i zdecydowanie się emancypowały.

Z drugiej strony ta różnorodność temperamentów na scenie oglądana od strony widza ma swój wielki urok i "Niteuche" jest widowiskiem bardzo ciekawym i miłym, bo w wedywiliu nigdy wielkim błędem nie jest powrót czy nawrót do tradycji teatru konwencjonalnego-byleby tylko "solisci"stali na wysokości zadania. Ta zaś stoi w tym spektaklu na bardzo dobrym poziomie. Oprócz wyżej wymienionych słowa pochwały należą się też debiutowi Adama Wysockiego i dobrej kreacji Heleny Zahorskiej w roli Przełożonej. Doprawdy można ochrypnąć, patrząc na tę kobietę-powiedziałyby wspaniały D'erville!

Zgoda inaczej ma się ~~xpxxy~~ z "konkurencyjnym" "Porwaniem Sabinek" na scenie teatru Tuwima. Ciężar sprawy nie leży tu na barkach indywidualności aktorów ale na tuwimowskim tekście i na reżyserii Perzanowskiej. Sprawa Węgrzyna w "Porwaniu Sabinek" - to sprawa specjalnego zagadnienia, ~~wykłóty~~ które należałoby szeroko i nie tylko z punktu widzenia aktora na scenie rozważyć. Również strona treściowa komedii Szentana przerasta o głowę miłą, lecz całkowicie nieprawdopodobną historyjkę uroczej "Nitouche".

Posłuchajcie ~~bawie~~ treści. Mieszka sobie w małym miasteczku "gdzieś w mordobijskim powiecie" pan profesor języków starożytnych nazwiskiem Owi-
czowicz. Pan profesor nosi na sobie wszystkie cechy człowieka pogwałconego przez los, bardzo nęka żonę i władze szkolne, które w ówczesnym ustroju poczynały się do świętego obowiązku utrzymywania swoich "poddanych" w permanentnej bojaźni. Pan profesor - jedyną duszą, która go po swoim rozumie ma w Weronice, wyjątkowym okazie, który prócz tajemnic kuchni i sąsiedztwa zna tajemnice gramatyki łacińskiej, bo od lat czterdziestu kręci się wokół biur-
i "consecutio temporum". Nagle - niby w prawidłowym dramacie - skracza w życie i progł. pana Pawła wspaniała kabotynus w osobie dyrektora wędrownego teatru obywatel Strzyga Strzycki i stawia profesorowi propozycję wystawienia jego sztuki "antycznej", krwawego dramatu oczywiście, który gdzieś w zamierz-
chłych czasach romantycznej słabości panaprofesorowej powstał w jego fil-
lologicznej głowie a teraz zbiegiem okoliczności znalazł się w rękach zgrzywającego się aktorusa. Ciąg dalszy - łatwy jest do przewidzenia. Profesorowi zawirowało w głowie. Zmienia tryb życia, chodzi raz pierwszy od lat 14-tu na wódkę, okłamuje straszliwą żonę, chodzi cicho na próby i ma zamiar "postawić dziewczynom z teatru kolację"! A ~~zupnie~~ wypracowania szkolne poprawia zań Weronika...

Oczywiście "Porwanie Sabinek", bo tak się ta tragedia nazywa, poniosło niespotykaną nawet w dziejach teatru wędrownego klęskę a uratowała scenę i kasę sprytna po stokroć pani Strzyga Strzycka dając nogę w miejsce IIIgo i IVgo aktu pana profesora... dwa akty z "Orfeusza w Biele"!

Pomimo staroświeckiego układu i konwencjonalnej "matematyki" wodewilowej pomimo z figur z lamusa wyciągniętych przez noc, niejednokrotnie, pomimo

sztampowej "herod baby", niedożęgi i "kupca z Tarnowa", który leczy wątrobę wódką, pomimo... "Porwanie Sabinek" ma niezłą podszewkę dramatyczną, utkaną ze śmiesznej komedii małego, biednego i skołatanego człowieka, do którego na kilka dni uśmiechnął się drwiny los. I dlatego wybór był trafny i dlatego nawet społecznie sprawę biorąc "Sabinki" mogły porwać pełną i nabitą ludźmi salę. Do dyrekcji mamy tylko jedną prośbę-prośbę o lepszą wentylację sali.

Przedstawienie szło składnie i ładnie. Fertner, Gruszecka i Bogucki bardzo dobrze umieszczeni na tle staroświeckiej, naftaliną i grecką gramatyką pachnącej dekoracji. Węgrzyn-- to, jako się rzekło osobna sprawa. Był świetny, potężny indywidualnością, błyskotliwy, wspaniale mówiący. Lata nie przeżarły go i dlatego jakże chcielibyśmy ujrzeć go w innej roli, gdzie wrodzony patos wielkiego aktora nie musiałby się kamać co chwila na krawędzi farsy.

Na zakończenie przejdźmy w naszej wędrówce do Opery ^{Poznańskiej} ~~Krakowskiej~~. Strona muzyczno-wokalna tej imprezy należy do muzyka i ja ją zostawiam. Chciał-
dorzucić
bym tylko swoje trzy grosze ~~o~~ ^o stronie reżysersko-aktorskiej. Otóż pod tym względem Opera Poznańska obala dotychczasowe tradycje i sądy o konieczności konwencjonalnego traktowania każdej imprezy operowej. Tak granej na scenie "Tosca" i "Eugeniusza Oniegina" nie widzieliśmy. Są to nie tylko przedstawienia muzyczne ale są to niezwykle udane imprezy widowiskowe, przemawiające ekspresją i dynamiką gry i wypracowaniem aktorskim wszelkich szczegółów. Taka scena pisania listu w "Onieginie" zaprezentowana przez panią Charżampowicz, mogła być z pełnym powodzeniem filmowana z podkładem słownym jedynie. Wystarczy to na określenie wartości aktorskiej. Również organizacja ruchu w "Tosce" przekreśliła dotychczasowe obyczaje, kiedy to tłum miał jedno tylko zajęcie w kościele: podglądania kapelmistrza. Ogólnie oceniając tę sprawę, impreza poznańska godna jest podziwu i obejrzenia jako pierwszorzędną przykład realizmu operowego, za co należy się reżyserom serdeczny uścisk dłoni.